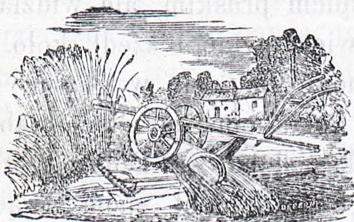
Tom III. 21. Stycznia 1871. Nr. 3.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na wojnie.

Ciąg dalszy.

— Wiem przecież że Prusaki to Niemcy; jakże też się to stało że Wy Polak i katolik poszliście do wojska pruskiego?

— A toć w pruskiem wojsku nie ja jeden Polak; jest tam może jakich 50 albo 60 tysięcy samych Polaków.

— Dziwna rzecz zawołał Wojtek — i to tak dobrowolnie idą Polacy do wojska?

— Oj gdzie tam dobrowolnie, a któżby bez przyczyny rzucał rolę i chatę rodzinną a nieraz żonę i dzieci i szedł bić się Bóg wie za co i po co — musem bierze nas pruski Niemiec i pędzi na wojnę a nie pyta czy chcemy czy nie.

Toć i pod Prusakiem są polskie wioski pytał coraz więcej zaciekawiony Zurek. Mój Boże! nie tylko tysiące wiosek polskich ale nawet wielkie wspaniałe miasta zamieszkałe przez Polaków jak Poznań, Toruń, Chełmno i inne są pod panowaniem pruskim — Wojtek nasz coraz większe okazywał zdziwienie wiedział on dotychczas że pod rządem austryackim w Galicyi i pod panowaniem Moskala mieszkają Polacy ale pierwszy raz dowiedział się że i Prusak rządzi polską ziemią.— Dziwna to rzecz myslał Wojtek że też Polacy tak wielki naród

a nie mają swego króla tylko panują nad nim Austryacy, Prusacy i Moskale. Radbyłby jeszcze coś więcej dowiedzieć się o Polakach pod rządem pruskim, ale widział że raniony bardzo osłabły, niesmiał więc pytać i szedł koło ranionego i zaczął rozmyślać. Nie mogło mu się w głowie pomieścić co to za sprawiedliwość że Polak musi strzelać i zabijać Polaka dlatego że Niemcom się tak podoba. — Dobra chwila minęła aż naraz na gościncu rozległ się tentent spomykających koni. Raniony podniósł głowę rozglądnął się do koła i zawołał do Wojtka Uciekaj! uciekaj! pruska konnica nadbiega! Niech Ci Bóg nagrodzi żeś się zlitował nademną i dziećmi memi i nie dobił mnie Wojtek zerwał się na równe nogi schwycił za karabin i chciał uciekać — wnet jednak pomiarkował się że choćby najszybciej biegł, konnica go dogoni — Zapóżno! mruknął przed siebie i wrócił nadawne miejsce. — Raniony podniósł się na zdrowej ręce i patrzał na zbliżających się Prusaków. Było ich ośmiu czy dziesięciu. Niemasz się co bronic, mówił on do Wojtka daj się wziąść do niewoli, a nie mów nic do mnie po polsku bo to Niemcy co nadbiegają myśleliby że jaką zdradę knuje. Ciężka to niewola pod tym Prusakiem, myslał Żurek kiedy nawet w języku ojczystym mówić nie wolno. W kilka minut nadbiegli huzarzy pruscy. Zaszwargotali po niemiecku, potem dwoch zlazło z koni odebrali Wojtkowi karabin i zostali przy nim, reszta spięła koni i poskoczyła dalej.

Za pół godziny byli znowu z powrotem i przyprowadzili ze sobą wóz wysłany słomą. — Na wóz ten zaniesli ranionego obok niego posadzili Wojtka i kazali ruszyć z miejsca. Za nimi jechał konno huzar aby pilnować jeńca i chorego. Długi czas tak jechali mijali wsie i miasta a po drodze co chwila spotykali to większe to mniejsze oddziały Prusaków spieszące w różne strony — Podczas tej drogi poznał nasz Wojtek lepiej biednego rannego. Nazywał on się Michał Karczmarek. Pod Poznaniem w wiosce nazwanej Zabisków miał swoje gospodarstwo i żonę kochaną i dwoje dziatek. Choć ranny cieszył się serdecznie że wraca do swoich, że będzie mógł usciskać żonę i pocałować Hankę i Stacha małego. Zurek smutny był zpoczątku i zamyslony bo nie wiedział co Prusacy z nim

zrobią ale i on się potem jakoś oswoił z swym losem i zaczął rozmawiać z Michałem i opowiadał mu znowu o swej wiosce, o rodzicach starych, co wdomu zostali i za nim płaczą albo znowu o innych rzeczach. Wrozmowie tej szybko im czas zchodził a choć przez całe trzy dni jechali na jednym wozie nic im się nie dłużyło.

Przybyli wreszcie do wielkiego miasta Berna, które jest stolicą Morawii. Tu mieli się rozłączyć Michał szedł na parę dni do szpitalu, aby potem kiedy mu będzie cokolwiek lepiej mógł już bez obawy jechać do domu aby się zupełnie wyleczyć zaś Wojtkowi kazano zaraz siadać do wagonu i jechać z innymi jeńcami do Prus.

Bądźcie mi zdrowi panie Michale mówił Wojtek kiedy mu powiedziano że zaraz pojedzie dalej a darujcie i zapomnijcie otem że to ja was poraniłem boć Bóg mi świadkiem niewiedziałem że strzelam do Polaka i katolika.

Nie wasza to wina wtem ani ja ani wy nie szlismy dobrowolnie na tę wojnę. Niech Bóg wielki ukarze tych co bratu strzelać do brata kazali, odpowiedział Michał.

Fort, fort, zawołał jakiś oficer pruski i pchnął Wojtka ku wagonom. Nie było czasu rozmawiać. Zurek pobiegł do pociągu. Ze wszystkich stron spędzili Prusacy jeńców których nabrali w bitwach. Scisk był i wrzawa że trudno opisać; każdy się spieszy, cisnie i tłoczy aby dostać jak najlepsze miejsce. Klną i łają różnemi językami. Słychać polskie, czeskie, węgierskie włoskie, i niemieckie wyrazy, wszyscy jeńcy pchają się do wagonów. Usadowili się wreszcie, lokomotywa zaświstała i pociąg ruszył Dwa dni i dwie nocy jechał tak Wojtek z innymi żołnierzami austryjackiemi, którzy wraz z nim dostali się do niewoli. Ledwie kilka razy przez ten czas pozwolono im wysiąść aby dać trochę lichej strawy. To też kiedy stanęli na miejscu byli wszyscy tak pomęczeni że się ledwie na nogach trzymali. Poznań był miastem przeznaczonym na pobyt jeńców. Piękne to i wspaniałe miasto otoczone silnym murem i oblane rzeką Wartą może się bronić przed każdym nieprzyjacielem choćby przez kilka miesięcy. Na murach stoją wielkie armaty, wszędzie chodzą warty pruskie a po kasarniach Prusaków jak mrowia

Gdyby nie te Prusaki jeszcze piękniejszy byłby Poznań — a tak gdzie się ruszysz słychać szwargot niemiecki — i człek aż smutnieje że nad takiem miastem Niemiec panuje. Jeńców pokwaterowano w kasarniach. Rano pędzili wszystkich za miasto tam wozili taczkami ziemię i naprawiali wały przy fortecy. Robota ta trwała cały dzień. Prusacy niefolgowali nikomu; za tę nędzną strawę którą dawali, kazali nie na żarty pracować.

Dzień po dniu schodził a jeden do drugiego podobny jak dwie krople wody. Tylko w niedzielę wolno było jeńcom chodzić gdzie chcą i oglądać miasto. Korzystał z tego pozwolenia i Wojtek Rano po mszy świętej wyszedł i oglądał miasto. Poznańczanie prawie wszyscy Polacy chętnie mu wszystko pokazywali i tłumaczyli, nawet pięknie postrojone panie i panienki rozmawiały z Wojtkiem i pokazywały mu piękne sklepy i pałacy.

— Widzieliście już, zapytał go jakiś pan, widząc że się rozgląda po wszystkich domach — katedrę poznańską?

— Nie proszę pana, odpowiedział Żurek.

— No to chodźcież zemną.

Poszli razem i niedługo stanęli przed katedrą, śliczny to i wspaniały kościół, nie każde miasto może się takim poszczycić. Wewnątrz pełno obrazów i posągów, ale najpięknięszą jest kaplica z pomnikiem króla Mieczysława i Bolesława. Kaplica cała wyzłacana a wniej na wielkim marmurowym kamieniu stoją dwa posągi odlane z kruszczu, zewnątrz wyzłacane większe od ludzi żyjących.

Są to statuy króla Mieczysłewa i króla Bolesława. Mieczysław ma krzyż w ręku, na znak że zaprowadził chrześciaństwo w Polsce, a Bolesław wsparty na mieczu którym bronił Polski przed napadem Niemców. Wszystko to tłumaczył ten pan Wojtkowi, który go oprowadzał, a Wojtek patrzał i patrzał w tych dwóch wielkich królów i oczu od nich oderwać nie mógł.

— Czy królowi ci, zapytał wreszcie nie śmiało, panowali tylko nad Poznaniem, czy także nad Galicyą.

— Panowali oni, mówił ów pan nieznajomy, nad wszystkiemi krajami, w których mieszkają Polacy, a król Bolesław panował

nawet nad Rusią i mieczem swym zdobył wielkie i bogate miasto Kijów.

Bo dawniej mówił dalej, Polacy stanowili jedno państwo, a nad niemi panował jeden król, tak było aż do roku 1795.

— A potem? zapytał nieśmiało Wojtek.

Niezgoda panowała w narodzie, a Moskale Prusacy i Austryjacy zmówili się i cały kraj polski podzielili między siebie.

Wszelkie to nieszczęście, mówił Wojtek który sobie przypomniał, że gdyby Polska niebyła podzielona, niebyłby nigdy ranił Polaka i katolika.

Ciężko nas Bóg doświadczył, kończył ów pan nieznajomy, ale przyjdzie że czas wszyscy Polacy złączą się w jedno państwo, i będą silnym i wielkim narodem. (D. n.)



Opowiadanie Pana Bartłomieja o jedwabnictwie.

Wioska Kalinka w ładnej leży okolicy. Jużto Bóg tam szczęści ludziom widocznie, bo i słonko tam pięknie przygrzewa i deszczyk jakby w sam czas spada użyźniający. Ludziska też poczciwi, bogobojni, pracowici, kochają się między sobą jak bracia i wspólnie sobie przy pracy pomagają. Na samym końcu wioski, mieszka pan Bartłomiej Zielonka, starowina, chociaż szlachcic, ale ukochał ten ludek nasz, bo z nim już kilkadziesiąt lat przeżył. Czy po radę, czy po lekarstwo każdy do niego spieszy, bo stary i uczynny i rozumny nadzwyczaj. Nawzajem też i jemu każdy chętnie usłuży. Zeszłego roku odwiedziłem staruszka; było to w niedzielę. Pan Bartłomiej zasiadł ze mną w izbie, i gawędzimy w najlepsze. Wtem przychodzi gospodarz tamtejszy Jacenty, pozdrawia pana Bartłomieja Imieniem pańskiem i pyta, czy niema mu co do polecenia. Pan Bartłomiej mówi:

— A jakżeto gospodarzu chcieliście, żebym was jeszcze i w niedzielę trudził. Toście wczoraj dość się napracowali pomagając mi w ogródku.

— Ej, jabym dla złotego jegomości wciąż robił, bo to i niężal, człowiek się zawsze czegoś nowego dowie. A dziś, to

niech jegomość wybaczą, ja tak więcej z ciekawosci przyszedł, bom bardzo ciekaw jednej rzeczy, ale nie śmiem trudzić...

— Śmiało mój Jacenty, cóż chciałbyś wiedzieć?

— Jużto bardzom ciekaw coś wiedzieć o tych drzewkach w ogródku, i o tych robaczkach, co im jegomość te liście daje z drzewek. Takich drzewek u nas nigdzie niema, i nie wiem na co się to zdało.

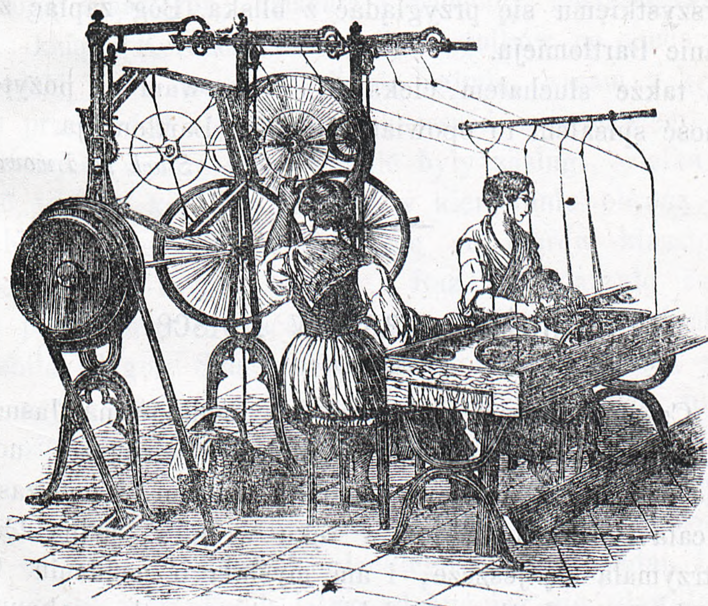
— No to siadajcie panie Jacenty, a opowiem wam. Ot widzicie dzieci nie mam, stary jestem, to się i zabawka człowieka czepia. Robię próbę, i niewiem, czy mi się uda. Ale nie myślcie, żeby to zabawką tylko było, — ja próbuję, czyby w naszym kraju to się wieść nie mogło na wielką stopę. Te drzewka wam nieznane, to są morwy, a robaczki to są jedwabnice, które jedwab snują. Dziwnem wam się wyda, że taki robaczek lichy daje ze siebie nitkę z której się potem drogie materye jedwabne tkają.

— No proszę jegomości, ja zawsze myślał, że jedwab to jak len albo konopie w polu rośnie.

— Otóż patrzcie że tak nie jest. Tu wstał pan Bartłomiej, poszedł do ściany, na której wiele było pułek poprzybijanych, wyjął z jednej z nich coś białego, podobnego do małego jajka, pokazał nam i rzekł:

— To co tu widzicie, jest o p r z ę d e m tego r o b a c z k a Jedwabnice są stworzeniami podobnemi do naszych ćmów i motyli. Taka ćma jest barwy żółtawo białej, ma dwie pary skrzydełek, — żyją one bardzo krówko, bo samiczka, gdy zniesie dwieście do trzysta jajek ginie niezadługo. Z tych jajek wylęgają się na wiosnę małe gąsieniczki, ale to takie maleńkie, że je okiem dostrzedz trudno. Trzeba więc barzdzo uważać, aby się nie porozłaziły, i kłaść dwa albo trzy razy na dzień świeże liście z drzewek morwowych, bo innych liści te robaczki nie jedzą. Dlatego trza dużo drzew takich sadzić, aby liścia zawsze było podostatkiem i robaczki z głodu nie ginęły. Robaczki jedzą bardzo wiele, i rosną bardzo prędko. Po wykluciu z jajka są one przezroczyste, później stają się czarniawe — za dziesięć dni zrucają po raz pierwszy z siebie skórę, i tak co dziesięć dni trzy razy jeszcze się lenią. Po ostatniem lenieniu się mają

barwę perłową z różnemi ciemnemi znaczkami, i rożek mały na ogonie. Trwa to wszystko kilka tygodni, przez który czas żrą nielitościwie, przyczem wiele zachodu z ciągłem czyszczeniem i wietrzeniem. Po czwartem zlenieniu się, przestają gąsieniczki zwolna jeść, żółknieją, stają się smutne, i oprzędzają się w nitkę cienką jak pajęczyna, słowem w jedwab, który ze siebie wysnuwają. Natenczas trzeba te oprzędy wysuszyć, bo robaczek w ich środku przemienia się w ćmę, i ożywszy przegryza oprzęd, przez co ten się staje nieużytecznym. Oddziela się więc pewną ilość oprzędów na rozpłodek, resztę suszy się w gorącu aby robaczki zamarły. Takich oprzędów, jak je tu widzicie panie Jacenty, idzie 360 na jeden funt. Teraz to dopiero robota aby nitkę tę jedwabiu rozmotać! a jest tej nitki na jednym



Przędzalnia jedwabiu.

oprzędzie przeszło 500 łokci! a pomotana strasznie. W fabrykach jedwabiu są do tego wprawni i uczeni ludzie, którzy wszystko w równe nitki wyciągają. Rzuca się oprzędy na gorącą wodę, a gdy zmiękną, to bije się je miotełką we wodzie, w skutek czego koniuszki nitek jedwabnych do pręcików miotełki się przyczepiają. Gdy się ma już te koniuszki, to można

albo za pomocą prostego kołowrotka, albo maszynami jedwab zwijać. Na jedną nić jedwabną bierze się kilka, czasem kilka naście nitek razem, przepuszcza przez szklanne pierścionki, i dopiero razem skręca. W krajach gdzie przemysł jedwabnictwa wysoko stoi, są liczne przędzalnie jedwabiu w których wiele ludzi się utrzymuje. We Włoszech co roku przeciętnie 160 tysięcy surowego jedwabiu wyrabiają. Ma to wartość przeszło 120 miljonów reńskich. Z tego surowego jedwabiu wyrabiają chustki, szale, materje drogie, itp. Tak to, taki mały robaczek tyle człowiekowi przynosi korzyści. Widzicie więc, panie Jacenty, i ja chciałem spróbować, zasadziłem drzewka, sprowadziłem sobie jajka, i zatrudniam się tem.

— Już też jegomości ślicznie dziękuję za wytłumaczenie i naukę. A w wolnym czasie to i pomódz przyjdę, bom ciekaw temu wszystkiemu się przyglądać z bliska. Bóg zapłać za naukę, panie Bartłomieju.

Ja także słuchałem ciekawie, i oto wam na pożytek, a wiadomość spisałem to opowiadanie pana Bartłomieja.

Stach ze Lwowa.



Smutne czasy w Polsce.

(Dokończenie).

W Częstochowskim klasztorze OO. Paulinów na Jasnej — górze Częstochowskiej pod opiekę Matki najświętszej, uciekło się wiele szlachty z okolicy z żonami i dziećmi, i podczas gdy prawie cała Polska była już w ręku wrogów, jedna Częstochowa trzymała się jeszcze, i ani myślała o poddaniu. Gniewało to dumnego króla szwedzkiego, że garstka zakonników zamierza stawiać mu opór, i wysłał wojsko z rozkazem zdobycia Częstochowy. Zaczęło się oblężenie dnia 18 listopada 1655. Dowódzca szwedzki Wejchard z czterema tysiącami wojska, stanął pod murami klasztoru i żądał, aby mu go poddano. Ksiądz Augustyn Kordecki, przeor, odpowiedział odważnie, że nie czyni zadosyć temu żądaniu. Zagrały szwedzkie armaty i kościół św. Barbary pod Jasną górą stojący zgo-

rzał. Zakonnicy przygotowali się do długiej i uporczywej obrony, a tymczazem nadciągnął jenerał Miller z dziewięcioma tysiącami Szwedów, otoczył klasztor i groził, że w trzech dniach zamieni go w stos gruzów i rumowiska, jeżeli zakonnicy nie poddadzą się dobrowolnie i króla szwedzkiego nie uznają za pana. Ksiądz Kordecki pokładając nadzieję w Opatrzności boskiej, bynajmniej nie przeraził się tą groźbą i podczas gdy Szwedzi rozjątrzeni jego stałością, zaczęli gotować się do szturmu, on przy odgłosie dzwonów odprawiał uroczystą procesyą po wałach fortecznych. Z wysokiej wieży kościelnej brzmiały hymny na cześć Matki Bożej, księża, starcy i kobiety modlili się nieustannie w kościele. Szwedzi rozpoczęli ogień działowy który trwał przez trzy dni i trzy nocy bez przerwy, zdawało się że z klasztoru i kościoła nie zostanie kamień na kamieniu. Ale załoga klasztorna, szlachta i pachołcy odstrzeliwali się dzielnie: ksiądz Kordecki rozstawił strażników po dachach aby czemprędzej ogień gasili jeżeli się zajmie, a sam z krzyżem w ręku przechodził się po murach wśród największego gradu kul i zachęcał walczących. Wielkie były zasługi, wielka przytomność umysłu ks. Kordeckiego w kierowaniu obroną klasztoru. Kule szwedzkie odbijały się od murów klasztornych i oblężonym nie czyniły szkody. Raz się zdarzyło że kula ognista padła przy kołysce w której dziecię spało i nic mu nie zrobiła złego. Szlachta w klasztorze zamknięta zrobiła pewnej nocy wycieczkę i wśród ciemności nocnych sprawiła rzeź w szeregach szwedzkich. Nawet chłopi z kosami na Szwedów się rzucali. Ale to wszystko nie wiele skutkowało a oblężenie coraz się stawało dotkliwszem. Szlachta zwątpiwszy o ocaleniu zaczęła namawiać księdza Kordeckiego aby się poddał. I Miller widząc, że klasztor nie tak łatwo zdobyć jak się zdawało, a nie chcąc ze wstydem odstąpić od oblężenia, nuż posłów wyprawiać począł do ks. Kordeckiego i łudzić go różnemi obietnicami aby się poddał królowi szwedzkiemu. Ks. Kordecki odrzucił wszystkie te przedstawienia i oświadczył że za nic w świecie nie podda klasztoru. W tem podkrada się pod mury klasztoru Jacek Brzechański mieszczanin Częstochowski i przerzuca list z Krakowa do księży, ostrzegający aby się klasztor nie po dawał

bo Szwedzi nie dotrzymują obietnic, i w Krakowie wbrew przyrzeczeniom zrabowali kościoły. To utwierdziło ks. Kordeckiego w postanowieniu bronienia się do ostatka. Miller otrzymawszy odmowną odpowiedz księdza Kordeckiego tak się rozgniewał że nawet jego posłów nie chciał wypuścić lecz groził im mękami i śmiercią a zaopatrzywszy się na nowo w amunicyę i działa począł miotać na klasztor jeszcze rzęsistszym ogniem lecz szturm znowu odparty szczęśliwie, a Szwedzi znaczne ponieśli straty, bo im oblężeńcy pogruchotali maszyny oblężnicze i siostrzeniec jenerała poległ od kuli szwedzkiej. Tak oblężenie przeciągało się od dnia do dnia, od miesiąca do miesiąca, nadeszła zima a z nią mrozy straszne: tymczasem odsieczy nie widać a Szwedzi pod murami stoją i przypuszczają szturmy coraz gwałtowniejsze. Już znowu między ludźmi słabszej wiary w klasztorze częstochowskim zakradać się poczęło zwątpienie i rozpacz: tylko ks. Kordecki górował nad wszystkiemi męztwem i poświęceniem i zachęcał do wytrwałości. W połowie grudnia Miller spędził górników z okolicy i rozkazał im kopać chodniki podziemne któremi mógłby dostać się do klasztoru. W Boże narodzenie ledwo się msza skończyła Szwedzi przypuścili tak gwałtowny i zacięty szturm, że się zatrzęsły mury klasztoru: pewnie byłyby runęły gdyby nie widoczna łaska Pana Boga. Owóż i tym razem atak był bezskuteczny, ale też i ostatni, bo właśnie w tym czasie król szwedzki zapotrzebował jenerała Millera z wojskiem i wezwał go, aby co prędzej do niego przybywał. Miller na odchodnem posłał do klasztoru domagając się podarunków; ksiądz Kordecki posłał mu książeczki do nabożeństwa i obrazki świętych, przedstawiając że go nie stać na inne dary.

Imię księdza Kordeckiego, co zdawszy się na Opatrzność Boską nie stracił wiary w świętość sprawy Ojczyzny, której bronił i z całą przytomnością umysłu odwagą i poświęceniem szykował szczupłą załogę na murach klasztornych a przykładem swoim porywał i zapalał upadających na duchu wojowników, po wiek wieków cała Polska wymawiać będzie zawsze z największem uszanowaniem jako imię najzacniejszego kapłana i prawego Polaka.

Przed kilką dopiero laty postawiono w Częstochowie pomnik księdzu Augustynowi Kordeckiemu. Na wyniosłym postumencie stoi posąg kapłana z krucyfiksem w ręku w postaci spokojnej z wzrokiem wzniesionym ku niebu, jakby się modlił lub dumał nad losem ojczyzny napowrót nieszczęśliwej.

Po odejściu Szwedów Jasna Góra zabrzmiała hymnami dziękczynnemi! Ale cudowna obrona Częstochowskiego klasztoru nie tylko tych uratowała co w jego murach szukali schronienia lecz oraz wzbudziła ducha w całym narodzie. Wieść radosna o zwycięztwie ks. Kordeckiego lotem błyskawicy rozeszła się po całym kraju. Wnet górale tatrzańscy pierwsi chwycili za broń przeciwko Szwedóm i urywali ich po trosze. Szlachta zjechała się do Tyszowiec i poprzysięgła do ostatniej kropli krwi bronić ojczyzny. Król Jan Kazimierz dowiedziawszy się jak rzeczy stoją wrócił do kraju. Cały kraj powstał. Stefan. Czarnieckiego który już niejednokrotnie wstawił się jako wojownik okrzyknięto wodzem. Wojsko rzekło się żołdu t. j. zapłaty. Król Jan Kazimierz przybywszy do Lwowa odprawił nabożeństwo do cudownego obrazu Matki Najświętszej, który teraz jest umieszczony w wielkim ołtarzu w katedrze a wówczas jeszcze znajdował się zewnątrz na murze od strony halickiej ulicy, oddał siebie i kraj Najświętszej Pannie w opiekę.

Nadzieja wstąpiła w serca ale niestety... chyba po to tylko aby je wkrótce tem okropniej zakrwawić. Szwedzi obaczyli że się Polacy ruszają a więc nie zasypiali sprawy. Skupiwszy siły uderzyli na Czarnieckiego i pobili go pod Gołąbiem. Po tem zwycięztwie rozsypali się znowu po ca'ej Polsce. Kilka razy tu i owdzie pobici cofnęli się do Prus i król Jan Kazimierz zajął Warszawę ale wkrótce potem na nowo zawrzał bój zacięty. Nie daleko Warszawy stoczono zaciętą bitwę, która trwała trzy dni. W tej bitwie wojsko polskie zostało pobite i cofnąć się musiało przed potęgą nieprzyjacielską.

Teraz już zdawało się że nie ma ratunku że Polska musi koniecznie upaść. Nie było w całej Polsce ani jednego człowieka któryby mógł stanąć na czele rozpierzchniętego wojska i poprowadzić je do boju. Był wprawdzie Czarniecki, ale niestety ranny ciężko w bitwie, leżał przykuty do łoża boleści.

Tak piękne początki na niczem się skończyły, okropny zawód zarówno dręczył nieszczęśliwego króla jak cały naród i nie było już nadziei powtórnego podźwignięcia się z upadku Rozpacz straszna ogarneła wszystkie umysły, a pod wpływem rozpaczy ludzie do reszty rozum tracili. Nie wiedziano co począć, czego się chwycić. Posłano znowu za granicę o pomoc, ale monarchowie zbywali posłów ni tem ni owem. W ostatecznem zgnębieniu nieszczęśliwy naród zwracał oczy ku Częstochowie niedawno cudem ocalonej i błagał Matki najświętszej aby się tak samo nad całym zlitowała krajem. Wszystkie świątynie napełniły się pobożnymi, wszędzie rozlegały się modły i hymny pobożne, wszędzie brzmiało błaganie: „Królowo Polska przyczyń się za nami". Wówczas to naród wszedł. W siebie i słychać było głosy. Cóż się stało z nami? Gdzież się podziały owe czasy kiedyśmy dziesięć kroć liczniejszego bili nieprzyjaciela, kiedy wszyscy sąsiedzi bali się nas i nas szanowali? Takżeśmy to nisko upadli, że się nie zdołamy podźwignąć! Ten i ów zgadywał, że to kara boża za grzechy. Gdybyśmy nie żyli w zbytkach, znalazłyby się dzisiaj pieniądze na prowadzenie wojny, gdybyśmy nie uciskali chłopów, wszyscy oni tak jak górale byliby za broń chwycili i pomagali nam wypędzić nieprzyjaciela. Gdybyśmy się byli przykładali do nauk, umielibyśmy lepiej radzić o losie ojczyzny, i nie byłoby tak trudno o wodza pomiędzy nami. O Boże wyrwij nas z tej toni, a my ci ślubujemy, że będziemy cnotliwi jak nasi przodkowie, którym tak sprzyjałeś, że nie będziemy prześladować nikogo że się zbratami z chłopami i powrównamy ich za sobą boć to bracia nasi jednej ziemi dzieci, że będziemy chronić się zbytków a całą duszą do nauk się weźmiemy, i dzieci nasze uczyć damy aby przynajmniej one były od nas szczęśliwsze!

O jakże inaczej działo się w obozie zwycięzców, którzy wnet pozajmowali wszystkie te miejsca, które wojsko polskie opuściło. Upojeni zwycięztwem szli do boju jak do tańca, a zwyciężywszy naigrawali się nikczemnie ze zwyciężonych. Król szwedzki Karol Gustaw wzbogacił się niezmiernie i wszystkie łupy co prędzej odsyłał do swojej ojczyzny. Jego żołnierze także pamiętali dobrze o swoich kieszeniach i wszędzie gdzie

przyszli dopuszczali się najokropniejszych zdzierstw. Widząc że nic im się oprzeć nie może wzbili się w pychę i przy każdem spotkaniu upokarzali Polaków. Zapomnieli się do tego stopnia że drwili nawet z cudów, których byli naocznymi świadkami pod Częstochową. Zdawało się im, że są już panami całej Polski że już żadna siła oprzeć się im nie zdoła.

Jakoż król szwedzki postanowił ostatecznie rozszarpać Polskę i zaprosił do udziału Rakoczego księcia Siedmiogrodzkiego i Bohdana Chmielnickiego wodza kozaków, o którym już wyżej wspomniałem, jak zacięcie walczył z Polską, chociaż był jej synem. Obydwaj przystali na przedstawienie króla szwedzkiego, i książę Rakoczy wkroczył niebawem z licznem wojskiem do Polski, aby zabrać przyrzeczony sobie dział.

Cud tylko mógł teraz ocalić nieszczęśliwą krainę i rzeczywiście Bóg miłosierny spełnił cud. Chciał on tylko ukarać nas za grzechy ale nie chciał zguby naszej — ukarawszy, wyciągnął rękę i powiedział: potąd, ale nie dalej!

Rakoczy połączył się z kozakami. Wojsko jego złożone z Węgrów Wołochów i Cyganów paliło i rabowało po drodze. Przyszedłszy pod Kraków zajęło go. Król szwedzki z swemi siłami zbliżył się ku Krakowu aby się połączyć z Rakoczym i kozakami i zaraz przystąpić do umowionego podziału. Ztąd poszli razem do Warszawy. Szwedzi ruszyli dalej do Prus, a Rakoczy zrabowawszy Warszawę wybrał się z powrotem ku Krakowu. Tymczasem Polacy mszczą się na nim za doznane krzywdy, wpadli do jego własnego kraju, zdobyli kilka miast i wrócili dopiero wtedy, gdy im mieszkańcy Siedmiogrodu, którzy swemu księciu do Polski nie towarzyszyli, nie zapłacili za koszta na wojnę wyłożone. Rakoczy opuszczony przez Szwedów i kozaków, zagrożony ze wszystkich stron przez wojsko polskie, musiał pokornie prosić, aby go wolno do domu puszczono i zwrócił nawet wszystko co był w Polsce zrabował.

Odtąd już los stale sprzyjał Polakom. Chmielnicki ów sęp drapieżny co tyle razy szarpał naszą ojczyznę, umarł nareszcie. Moskale wycofali swoje wojsko z granic Polski. Niemcy przysłali cokolwiek wojska na pomoc dla wygnania Szwedów do reszty, co Polacy przyjęli z wdzięcznością ale nie jeden sobie

Gambetta który objął rządy nakazał aby każdy Francuz od 20 aż do 49 roku życia szedł do wojska bić Prusaków. Czy kto bogaty czy ubogi czy żonaty czy wdowiec ma dzieci lub nie, wszystko jedno każdy musiał iść do wojska aby bronić kraju i niedać Prusakowi rozbijać i mordować Z tych ludzi powołanych do wojska utworzono trzy armie, jedna na północy od Paryża druga na zachodzie a trzecia na wschodzie. Dwie ostatnie mają przeszło po sto tysięcy żołnierzy. Wszystkie te trzy armje mają iść ku Paryżowi aby tam Prusaków wytępić i miasto uwolnić od zniszczenia. Armia północna pobiła już raz wojska pruskie ale jeszcze nie doszła pod Paryż, bo Prusacy coraz to nowe od siebie z Prus sprowadzają wojska aby tylko wstrzymać pochód Francuzów z północy ku Paryżowi. Wschodnia i zachodnia armja francuzka nie jest tak szczęśliwą jak północna. Ostatniemi czasy od początku stycznia aż do teraz biły się obie te armie ciągle, musiały jednak, przed wielkie i masami Prusaków cofnąć się więcej na południe.

Najgorzej przytem biednym mieszkańcom Paryża. Ta dwumiljonowa ludność, od początku oblężenia odciętą od reszty kraju; naokoło nieprzyjaciel, tak, że o dowozie żywności i myśli nie ma. Biedni ludzie zapomnieli już o mięsie wołowem i innem zwykłem pożywieniu; jedzą mięso końskie, ośle — biedniejsi, aż strach powiedzieć kotami, psami i szczurami się żywić muszą. Komendant Paryża, jenerał Troszi rozkazał żywność, jaką kto ma — na składzie poznosić i w równych częściach między mieszkańców rozdzielać. To niekoniecznie wystarcza, bo oto teraz juz zmiejszono porcje — co pierwej dawano dla jednej osody na dzień to teraz na dwa dni wystarczyć musi. Przytem mało mają wiadomości o tem, co się w kraju dzieje, bo Prusacy listów żadnych nie przepuszczają. Tylko balonami, któreśmy wam przedtem opisali, i pocztą gołębią, o której także jużeśmy mówili, listy z Paryża rozsełają. Wiara tylko silna w uczciwość sprawy, boć przecie własnego kraju, własnych ognisk bronią, nie daje im upaść i oddać się rozpaczy. Biedny, nieszczęśliwy naród francuzki.

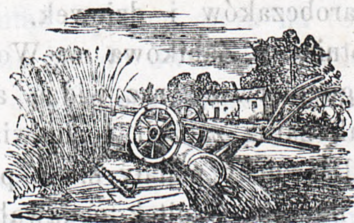
Mimo to wszystko Francuzi nie chcą słyszeć o pokoju: „Bić się będziemy do ostatniego, choćby nawet Prusacy Paryż zabrali, nie zrobimy pokoju aż wszystkich Niemców pruskich nie wypędzimy z Francji!“ Tak mówią Francuzi, kiedy im inne narody jak Anglicy albo Włochy radzą zawrzeć pokój. Jakie będą dalsze losy tej wojny opowiemy wam w następnych numerach.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.

Tom III. 1. Lutego 1871. Nr. 4.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na wojnie.

Dokończenie.

Kiedy wieczorem Wojtek powrócił do domu, długo jeszcze rozmyślał nad tem wszystkiem co mu opowiedział ów pan nieznajomy. Usnął przecie ale i we snie nie miał spokoju. Zdawało mu się, że widzi króla Bolesława jak złotym swym mieczem bije wojsko niemieckie bierze jeńców i zdobywa miasta. — Uderzenie w bęben zbudziło go, był to zwykły znak na który wszyscy jeńcy musieli wstawać iść na robotę, naprawiać wały. Wojtek wstał szybko i wybiegł na dziedziniec. Ze wszystkich stron schodzili się jeńcy i ustawiali szeregami. Potem przyszedł jakiś oficer pruski i powiedział, że odtąd nie będą pracować przy naprawie wałów lecz pójdą na żniwa do okolicznych wiosek. Oficer odszedł a jeńcy zaczęli się gotować wdrogę. — Zgotowano i rozdano sniadanie, nie minęło pół godziny, a wszyscy szli już ku wskazanym wioskom. Szczególnie Wojtek rad był tej nowej zmianie. Umiał on chodzić koło gospodarstwa, a czy to sierpem czy kosą ciął tak że się przed nikim nie powstydził. Żurka i kilku innych przyznaczono do Żabiskowa. Skoro tam zaszli ustawił ich ekonom na wielkim łanie przenicznym dał im kosy boć tam koło Poznania wszędzie koszą zboże

Gambetta który objął rządy nakazał aby każdy Francuz od 20 aż do 49 roku życia szedł do wojska bić Prusaków. Czy kto bogaty czy ubogi czy żonaty czy wdowiec ma dzieci lub nie, wszystko jedno każdy musiał iść do wojska aby bronić kraju i niedać Prusakowi rozbijać i mordować Z tych ludzi powołanych do wojska utworzono trzy armie, jedna na północy od Paryża druga na zachodzie a trzecia na wschodzie. Dwie ostatnie mają przeszło po sto tysięcy żołnierzy. Wszystkie te trzy armje mają iść ku Paryżowi aby tam Prusaków wytępić i miasto uwolnić od zniszczenia. Armia północna pobiła już raz wojska pruskie ale jeszcze nie doszła pod Paryż, bo Prusacy coraz to nowe od siebie z Prus sprowadzają wojska aby tylko wstrzymać pochód Francuzów z północy ku Paryżowi. Wschodnia i zachodnia armja francuzka nie jest tak szczęśliwą jak północna. Ostatniemi czasy od początku stycznia aż do teraz biły się obie te armie ciągle, musiały jednak, przed wielkie i masami Prusaków cofnąć się więcej na południe.

Najgorzej przytem biednym mieszkańcom Paryża. Ta dwumiljonowa ludność, od początku oblężenia odciętą od reszty kraju; naokoło nieprzyjaciel, tak, że o dowozie żywności i myśli nie ma. Biedni ludzie zapomnieli już o mięsie wołowem i innem zwykłem pożywieniu; jedzą mięso końskie, ośle — biedniejsi, aż strach powiedzieć kotami, psami i szczurami się żywić muszą. Komendant Paryża, jenerał Troszi rozkazał żywność, jaką kto ma — na składzie poznosić i w równych częściach między mieszkańców rozdzielać. To niekoniecznie wystarcza, bo oto teraz juz zmiejszono porcje — co pierwej dawano dla jednej osody na dzień to teraz na dwa dni wystarczyć musi. Przytem mało mają wiadomości o tem, co się w kraju dzieje, bo Prusacy listów żadnych nie przepuszczają. Tylko balonami, któreśmy wam przedtem opisali, i pocztą gołębią, o której także jużeśmy mówili, listy z Paryża rozsełają. Wiara tylko silna w uczciwość sprawy, boć przecie własnego kraju, własnych ognisk bronią, nie daje im upaść i oddać się rozpaczy. Biedny, nieszczęśliwy naród francuzki.

Mimo to wszystko Francuzi nie chcą słyszeć o pokoju: „Bić się będziemy do ostatniego, choćby nawet Prusacy Paryż zabrali, nie zrobimy pokoju aż wszystkich Niemców pruskich nie wypędzimy z Francji!“ Tak mówią Francuzi, kiedy im inne narody jak Anglicy albo Włochy radzą zawrzeć pokój. Jakie będą dalsze losy tej wojny opowiemy wam w następnych numerach.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.